

BOLESŁAW PRUS

POJEDNANI

Bolesław Prus

Pojednani

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=23548730

Pojednani:

Аннотация

W ciasnym mieszkanku w Warszawie mieszka czterech studentów: Kwieciński, Leśkiewicz, Gromadzki i Łukaszewski. Gromadzkiemu wiedzie się najgorzej – często nie ma czego do ust włożyć i musi chodzić w zniszczonych, ciągle łatanych ubraniach. Gdy na kolejny rok akademicki do mieszkania wraca Łukaszewski, okazuje się, że nie jest sam – przywozi ze sobą małego Walka, chłopca, któremu chciałby pomóc w zdobywaniu wykształcenia. Studenci postanawiają pomóc Walkowi – tylko Gromadzki, obecnie bez grosza przy duszy, nie jest w stanie nic zaoferować... Nowela Pojednani autorstwa Bolesława Prusa pokazuje życie młodych ludzi, pochodzących niekiedy z ubogich wiejskich rodzin. Przeprowadzka do dużych miast jest dla nich ogromną szansą na zdobycie wykształcenia i polepszenie bytu, ale wiedzie do tego trudna droga przez codzienne przeciwności. Prus zwraca uwagę na dysonans pomiędzy tymi, którzy mają pieniądze na edukację, a tymi, którzy muszą harować, by móc zarobić na jedzenie. Utwór Bolesława Prusa został po raz pierwszy opublikowany w „Tygodniku Ilustrowanym” w 1892 roku.

Содержание

I	4
II	7
III	11
Конец ознакомительного фрагмента.	17

Bolesław Prus

Pojednani

I

Jest w Warszawie mnóstwo ludzi, których można by nazwać „mijającymi” i sporo mieszkań, które zasługują na tytuł „przechodnich”.

Człowiek „mijający” jest to jeden z tych setek, które nas co dzień wymijają na ulicach. Odznacza się tym, że można go spotykać wszędzie, że zawsze jest do wszystkich innych podobny, lecz że niepodobna¹ jest określić jego samego. W ogrodzie mijasz go na każdej alei i przy każdej bramie; w restauracji mija cię między nakrytymi stołami albo przy bufecie; w teatrze usuwasz mu się w przysionku, albo on tobie obok krzesel.

Człowiek taki, mężczyzna lub kobieta, zawsze wygląda na lata średnie, ma cerę ani bardzo zdrową, ani chorowitą, odzież ani zbyt wykwinłą, ani ubogą – przyzwoitą; wzrost niezbyt wysoki i nie niski, fizjonomię² ani zbyt inteligentną, ani idiotyczną, która jeżeli wyraża coś, to chyba roztargnienie.

Życie jego jest niewyraźne; nic o nim nie wiesz. Nie wiesz

¹ *niepodobna* (daw.) – nieprawdopodobne, niemożliwe. [przypis edytorski]

² *fizjonomia* – twarz. [przypis edytorski]

– jak się nazywa, nie wiesz – co robi, nie wiesz – z czego się utrzymuje. I nie tylko nic o nim nie wiesz, ale nawet nic nie chcesz o nim wiedzieć. Może zdziwiłbyś się, gdyby ci powiedziano, że taki człowiek rodzi się; lecz ani by ci nie przyszło do głowy martwić się, usłyszawszy, że któryś z nich umarł. Są oni od tego, ażeby robić ruch w mieście, jak krople wody są od tego, ażeby robić ruch w rzece; wychodzą, Bóg wie skąd, płyną chodnikami spokojnie, mijają cię obojętnie i nie wiadomo gdzie znikają.

Jak są ludzie „mijający” nas, tak bywają mieszkania „przechodnie”, które cechują się tym, że można je obejrzeć od razu, z sieni albo z podwórza. Jest to zazwyczaj długa izba w oficynie³, mająca trzy lub cztery okna, którą za pomocą kilku tynkowanych przepierzeń dzieli się na dwa albo trzy pokoiki, tudzież kuchenkę z przedpokojem.

Są to mieszkania suche, widne i ciasne; kuchenka biała, jeden pokój bladeżółtawy, drugi bladoniebieskawy, trzeci, jeżeli jest, perłowy. Podłogi myje się raz na kwartał, ściany odświeża się raz na trzy lata. W pewnych godzinach zagląda tam słońce, w innych ukazuje się woda w wodociągu; na zimę zakładają się podwójne okna. Przez podłogę słyszać rozmowy, prowadzone na niższym piętrze, przez sufit kroki lokatora z wyższego piętra, a przez ścianę zegar, który wybija godzinę w sąsiedniej kamienicy.

W takich mieszkaniach nikt się nie rodzi, nikt się nie wychowuje, nikt nie umiera, bo nikt nie osiedla się tu na

³ *oficyna* – boczne skrzydło kamienicy. [przypis edytorski]

stałe. Każdy wprowadza się na krótki termin, płaci miesięcznie, pozwala mnożyć się karaluchom; a gdy pociemnieją ściany od pyłu, i z każdego kąta na środek pokoju zaczyna się wysuwać śmiecie, człowiek bez żalu wyprowadza się na nowy lokal, gdzie ściany są świeżo pomalowane i umyta podłoga. I znajduje takie same warunki bytu: takie same widne i ciasne pokoiki, w tych samych miejscach gwoździe, z tą chyba różnicą, że na dawnym mieszkaniu słońce pokazywało się o jedenastej z rana, na nowym zaś o pierwszej po południu.

II

Jedno z podobnych mieszkań, niedaleko ulicy Marszałkowskiej, na drugim piętrze, zajmowali przez jakiś czas czterej studenci z wyższych kursów, panowie: Kwieciński, prawnik, Leśkiewicz, przyrodnik, tudzież Gromadzki i Łukaszewski, medycy.

Pan Kwieciński był to piękny młodzieniec; wysoki, śniady, z ciemnymi oczyma, czarnym wąsikiem i bardzo starannie utrzymanymi włosami. Odznaczał się doskonałym humorem i niezwykłą wrażliwością serca. Przed dwoma tygodniami wrócił ze wsi, gdzie w czasie wakacji zajmował się guwernerką i prawie zaręczył się z osiemnastoletnią siostrą swojego ucznia. Obecnie zaś wszedł w bardzo ściśle stosunki z pewną magazynierką, co już nawet odbiło się na jego kieszeni i zarysowało się na fizjonomii⁴, nadając jej odcień powagi i znużenia.

Z powodu piękności i nazwiska, jeszcze w gimnazjum koledzy mianowali go "Kwiatkiem". Że zaś na pierwszym kursie pewna bona⁵ zrobiła mu awanturę, wołając na podwórzu: "Ja ci tego nigdy nie zapomnę!" – więc od tej pory nazywano go "Niezapominajką". Kwieciński z początku martwił się przewiskiem: gdy jednak liczba jego zmartwień poczęła

⁴ *fizjonomia* – twarz. [przypis edytorski]

⁵ *bona* – (daw.) domowa wychowawczyni małych dzieci. [przypis edytorski]

zwiększać się z każdym rokiem, więc uspokoił się, tym bardziej, że przewisko nie robiło złego wrażenia na pannach.

Najgłębszym jego pragnieniem było: dobrze skończyć uniwersytet i zostać sławnym adwokatem. Przede wszystkim zaś – zmienić lekkomyślny tryb życia, zerwać z nieustannymi miłostkami i zostać wiernym jednej wybranej kobiecie. Zachodziła tylko kwestia: której? – gdyż miał kilka zaprzysiężonych, z których każda uważała go za swoją własność.

Jakby dopełnieniem Kwiecińskiego był Leśkiewicz, przyrodnik, także brunet, ale niski, zgarbiony, dziobaty, z brodą, która mu zarastała pół twarzy i nadawała fizjonomii wyraz ponury.

Dusza pana Leśkiewicza również nie знаła spokoju, lecz bynajmniej nie z sercowych powodów. Był on stypendystą, więc co pół roku musiał dobrze zdawać egzamin; dzięki temu przez trzy miesiące w każdym półroczu martwił się tym, że "trzeba się wziąć do roboty", a przez miesiąc rozpaczał, że już za późno – lecz egzamin zdawał.

Troska egzaminacyjna nie była najmniejszą z goryczy jego życia – czuł się bowiem ciężko chory na żołądek, serce i płuca: wątpił, czy się kiedy wyleczy, a nie spotkał dotychczas lekarza, który by... poważnie traktował jego chorobę.

– Widocznie choroba moja jest jeszcze ukryta – myślał, ciągle kręcąc się między medykami i prosząc, ażeby go opukiwali.

W tym nawet celu zbliżył się do Gromadzkiego, który przeszedł na piąty kurs i słynął jako tęga głowa. Leśkiewicz w

zeszłym półroczu zamieszkał w jednym pokoju z Gromadzkim i z całym zaufaniem opowiedział mu o swych chorobach, burzliwie spędzonej młodości, nareszcie o dziedziczności, która fatalnie ciążyła nad płucami i żołądkami wszystkich Leśkiewiczów.

Czego chciał w zamian za swoją nieograniczoną szczerość? ... Prawie niczego. Trochę serca i trochę wiary. Tymczasem Gromadzki, wysłuchawszy jego najgłębszych tajemnic, sam o sobie nic, ale to nic nie opowiedział mu w zamian; tylko uśmiechał się obłudnie przy opisywaniu chorób, a w końcu oświadczył publicznie, że Leśkiewicz jest zdrow jak koń, i jeszcze nazwał go „śledziennikiem”⁶, co inni przerobili na „Śledzia”.

I otóż od kilku miesięcy, z niego, Leśkiewicza, poważnego i co najmniej zasługującego na współczucie, koledzy zaczęli tak żartować, że prawie już z nikim nie rozmawiał o swoich chorobach. W dodatku zaś przezywali go „Śledziem”, co również nie było przyjemne dla młodzieńca, który zawsze serio patrzył na życie.

Leśkiewicz nigdy nie śpieszył się z manifestowaniem swoich uczuć, więc choć w pierwszej chwili ciężko obraził się i chętnie starłby Gromadzkiego z powierzchni ziemi, nie zmienił jednak stosunków. Owszem, do wakacji mieszkał z nim w tym samym pokoju i nawet rozmawiał o rzeczach obojętnych. Ale stracił do niego zaufanie, nazywał go „Kretem”, który wkopuje się w cudze

⁶ śledziennik – (daw.) hipochondryk. [przypis edytorski]

tajemnice, ażeby je wyśmiać, a do kolegów nieraz mówił:

– Jest to jedyny człowiek, który na mnie nigdy nie powinien rachować. Przekonałem się, że jest pozbawionym uczuć egoistą, a nie zdziwię się, jeżeli kiedy zrobi jakie świństwo, nie licząc tego, co zrobił ze mną.

A choć Leśkiewicz po wakacjach sprowadził się na dawne mieszkanie (gdyż lubił dwu innych kolegów: Kwiecińskiego i Łukaszewskiego), już nie stanął w pokoju z Gromadzkim; rozmawiając zaś z nim, był posepny i uszczypliwy.

Nareszcie Gromadzki był to szczupły blondynek z rzadkim zarostem, zdolny, bajecznie pracowity, zamknięty w sobie jak ogniotrwała kasa. Nic nie wiadano o nim: ani jaką ma rodzinę, ani co zarabia, ani gdzie jada. Egzaminy składał świetnie, uczył się nocami, wieczorami dawał korepetycje; za wpis i mieszkanie płacił regularnie; niekiedy zaś ukradkiem łątał sobie obuwie i odzież, w czym miał wielką wprawę.

Posądzano go o skąpstwo albo dziwactwo; w rzeczywistości był to biedak, który okropnie wstydził się swojej biedy i krył się z nią jak z występkiem. Najśmielszym jego marzeniem było skończyć medycynę i dojść kiedy do takiego stanowiska, aby mógł co dzień jadać obiady. A gdyby jeszcze sam nie potrzebował reperować munduru i zamazywać atramentem białych szczelin na butach, uważałby się za zupełnie szczęśliwego.

Łukaszewski jeszcze nie powrócił z wakacji.

III

W połowie września, w niedzielę, około jedenastej z rana, trzech młodzi panowie znajdowali się w mieszkaniu.

W pokoju bladoniebieskim, gdzie znajdowało się jedno łóżko żelazne, drugie drewniane, żółta szafka na rzeczy i kilka półek, napełnionych książkami, przy stole, pod otwartym oknem, siedział Gromadzki. Był już od stóp do głowy ubrany, nawet mundur miał zapięty na wszystkie guziki, co trochę krępowało go w ramionach – i pisał. Raczej przepisywał drobno i kaligraficznie jakiś rękopis, źle zeszyty, niewyraźny i w dodatku mocno pokreślony.

Właściwie nie tylko pisał, ale jeszcze pił zimną herbatę, po której gęsto pływały liście, palił papierosa i kiedy niekiedy zagryzał kawałkiem chleba, który zdawał się posiadać wszystkie dietetyczne zalety oprócz świeżości.

Niekiedy Gromadzki rzucał pióro i przeciągał się, jak człowiek, któremu dokuczyło przepisywanie. Wnet jednak spoglądał na porządkowy numer stronicy, odkładał kilka kartek welinowego⁷ kajetu⁸, jakby naradzając się z nimi, otrząsał się, może dla odegnania nudów, i pisał dalej. W ogóle robił wrażenie pracownika, który nie zachwyca się swoim zajęciem, lecz chce

⁷ *welin* – odmiana cienkiego, luksusowego papieru. [przypis edytorski]

⁸ *kajet* (daw., z fr.) – zeszyt. [przypis edytorski]

je wykonać na czas.

Niekiedy podnosił głowę i patrzył na ścianę przeciwną jego biurka. Wówczas zdawało mu się, że między oknami czyta jakiś bardzo długi spis tanich i gorących potraw i zastanawia się: które z nich są najtańsze, najobszerniejsze i najsmaczniejsze? A potem uśmiechał się na myśl, że dzisiaj właśnie, gdy skończy przepisywać arkusz dwudziesty piąty, zaprowadzi się w nagrodę do Wróbla, wybierze kilka tanich, tłustych i gorących potraw, zje przy tym mnóstwo chleba darmo i wypije kufel piwa.

W końcu nawet sformułował aforyzm: „Kto wczoraj nie jadł gorącego, a dziś zarobił półtora rubla, ten ma prawo wydać na siebie pół rubla”. Aforyzm podobał mu się, chociaż na myśl wydania pół rubla przebiegły go lekkie dreszcze.

– A jednak puszczę się... – mruknął.

Nagle ocknął się i przez otwarte drzwi wychylił głowę do pierwszego pokoju, jakby lękając się, ażeby jego rozpustnych projektów nie podsłuchali koledzy.

Lecz koledzy nie zajmowali się nim. Kwieciński zupełnie ubrany, tylko bez mankietów i munduru, leżał na łóżku, z rękami pod głową, usiłując to prawą, to lewą nogą dosięgnąć szafy, oddalonej o łokieć. Leśkiewicz zaś, ubrany w krawat i starą marynarkę (dolna część jego istoty znajdowała się jeszcze w płóciennym neglizżu), siedział na amarantowym foteliku, którego przeszłość zdawała się być nader burzliwą. Leśkiewicz w prawej ręce trzymał fajkę, lewą od niechcenia opierał na dużym stole, na którym stygnął samowar, walały się okruchy bułek i dwie skórki

serdelków.

– No i co ty wyrabiasz ze swoimi nogami? – odezwał się Leśkiewicz, patrząc z politowaniem pełnym goryczy na gimnastyczne zabiegi Kwiecińskiego.

– Stawiam kabałę⁹: iść, czy nie iść do Tekluni. – odparł Kwieciński.

– Jeżeli powiedziałaś sobie, że nie pójdziesz, to nie idź.

– W takim razie ona może przyjść...

– Masz diable kaftan! – odezwał się w drugim pokoju Gromadzki, na którym, pomimo skromności, czy może z powodu jego skromności, imiona żeńskie robiły silne wrażenie.

– A ty, Śledziu, dlaczego się nie ubierasz? – wtrącił Kwieciński, chmurnie spoglądając na negliż Leśkiewicza. – Pominąwszy, że może kto wejść do nas...

– Teklunia – zachichotał Gromadzki.

– Ale nawet nieładnie tak pokazywać się sąsiadom z przeciwka – dokończył Kwieciński.

– Wiesz przecie, że mam robotę – odparł Leśkiewicz. – A jeżeli ubiorę się, z pewnością wylazę na miasto... Znam siebie.

– Więc rób.

– Tak rób... Ale po co?... Kto mi zaręczy, że nie umrę po ostatnim egzaminie?...

I potarł sobie palcem usta, ażeby sprawdzić, czy nie ma gorączki.

– No, zaraz po egzaminie...

⁹ *kabała* – tu: wróżba. [przypis edytorski]

– Więc w kilka lat później. A wtedy co mi przyjdzie z tego, że będę umiał trochę więcej, aniżeli na stopień kandydata? – mówił, krzywiąc się, Leśkiewicz. – Bakterie ani nasycą się moją uczonością, ani otrują.

– Ale nauka... Postęp... – wtrącił Kwieciński.

– Postęp!... cha... cha!... – zaśmiał się Leśkiewicz. – Właśnie teraz myślałem, że kto wie, czy Europa nie dosięga kresu swoich postępów, i czy już nasze wnuki nie zapadną w chińską rutynę, która przeżuwa i zapomina stare rzeczy, nie tworząc nic nowego.

Odetchnął jak człowiek próbujący, czy jeszcze może oddychać, i wziął się za lewy bok.

– Otrułeś się serdelkiem, Śledziu, i barłożysz¹⁰...

– Nie barłożę!... – oburzył się Leśkiewicz. – To są moje najgłębsze myśli, którymi tylko nie mam zwyczaju dzielić się. Jak roztopiona lawa krzepnie w skałę, jak organiczne tkanki wapnieją, tak wapnieją całe społeczeństwa... Zamiera w nich ciekawość, popęd do rzeczy nowych i stają się podobne do mrowisk, albo do rojów pszczelnych, gdzie od tysięcy lat wszystko robi się bardzo porządnie, bardzo systematycznie, ale rutynicznie i nieświadomie.

– Skąd u diabła, przychodzą ci takie głupie myśli? – krzyknął, zrywając się z łóżka, Kwieciński.

– Bo widzę kresy cywilizacji tam, gdzie ty ich nie dostrzegasz – odparł podniecony Leśkiewicz. – Spójrzij choćby na drobiazgi; na stół, na krzesło... Czy myślisz, że za pięćset

¹⁰ *barłóżyc* (daw.) – bredzić, opowiadać głupoty. [przypis edytorski]

lat będzie coś lepszego w miejsce stołów i krzeseł?... Może sądzisz, że ta bułka będzie inna?... A może wyobrażasz sobie, że ludzie zaczną budować inny typ domów, i zamiast dzisiejszych podziurawionych pudeł, zaczną wznosić budynki, podobne do kryształów, albo do skał fantastycznych?...

– I to mówi przyrodnik!... – wołał zaczerwieniony Kwieciński.

– Właśnie przyrodnik, który wie, że już nie odkryje się stu tysięcy nowych gatunków roślin i zwierząt, nie wynajdzie się kilkudziesięciu nowych pierwiastków, ani kilku nowych sił, takich, jak ciężkość, ciepło, elektryczność... Już dochodzimy do kresu... – zakończył śpiewnym tonem, niby od niechcenia ugniatając sobie żołądek.

– To może wy, ale nie my – przerwał Kwieciński. – Patrz – że tylko, ile milionów ludzi zyskało od stu lat wolność osobistą, dobrobyt i oświatę... Zobacz, jak dziś traktują jeńców, rannych, a nawet przestępców... Pomyśl, do czego może dojść prawo międzynarodowe... Zrachuj, ilu ludzi z najniższych sfer przenosi się na wysokie stanowiska...

– Zapytaj się Gromadzkiego, kto był zdrowszy: jego ojciec w szkole elementarnej, czy on w uniwersytecie? – a zobaczysz, co to jest nasz postęp... – odparł z ironią Leśkiewicz i zaczął sobie rachować puls.

Gromadzki zerwał się od stolika i stanął we drzwiach.

– Naturalnie, że jest postęp!... – zawołał. – Mój ojciec był

tkaczem, wuj felczerem¹¹, a ja już będę lekarzem...

– Za to mój pradziad miał dziesięć wsi i dwa miasta, a ja nie mam dziesięciu koszul. To mi dopiero ulepszenie, gdzie, ażeby jakiś tam Gromadzki trochę zyskał, Leśkiewicz musi stracić wszystko...

– To właśnie dobrze, że rodziny niezużyte wysuwają się naprzód, a upadają familie dziwaków i hypochondryków – odburknął Gromadzki, wracając do przepisywania.

Leśkiewicz poruszył się na ponsowym foteliku i ze złości ugryzł piórko u cybucha. Ażeby nie dopuścić go do odpowiedzi Gromadzkiemu, Kwieciński wtrącił:

¹¹ *felczer* – osoba wykonująca proste zabiegi medyczne. [przypis edytorski]

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.